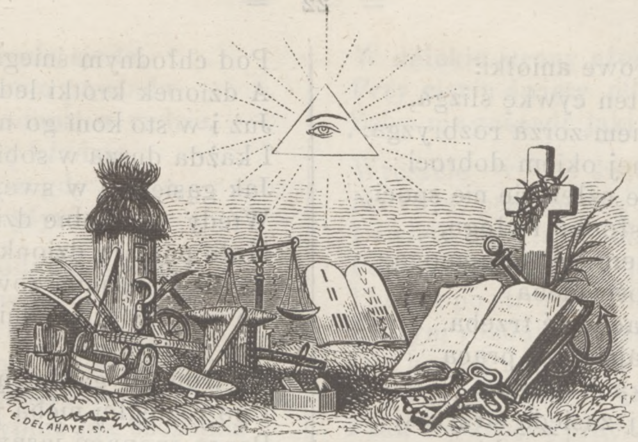
ROK PIĄTY.

№ 3.

WARSZAWA

d. 3 (15 stycznia)

1860.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1527.

NIEDZIELA.

2ga po Trzech Królach.

„Raczej zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Bracia moi najmilsi! nigdy nie pamiętam, aby złą śmiercią umarł, kto dobre i miłosierne uczynki czynił; bo taki człowiek ma wielu orędowników, i niepodobno, aby modlitwa wielu ludzi wysłuchaną być nie mogła. *(Czytania Bractwa miłosierdzia na każdą Niedzielę roku, przez X. P. Skargę.)*

ŚWIĘTA PRACA.



Jesienną porą, pod wieczór szary,
Ciekawe chłopię przy babce starej,
Rzucając suche na ogień trzaski,
Z których i ciepło idzie i blaski,
Na jej kolanach złożywszy głowę,
Dawną, przebrzmiałą wznawia rozmowę:

—Dobrze to w niebie, mojaście złota,
Tam się już o nic człek nie kłopota;
Zechce po rajskim ogrodzie bieżeć,
Zechce pod złotą jabłonką leżeć,
To sobie leży, a chce, to chodzi,
To znowu pływa we srebrnej łodzi;
I jeszcze jakich bierze wioślarzy!..
O jasnych skrzydłach, różanej twarzy,
Którzy po gładkiem pędzą jeziorze
Swemi piórami czołenko Boże.
Czy też to prawda, że tam nie trzeba
Pracować ciężko na kawał chleba?
Że byle swoje zmówić pacierze,
To już tam wszystko samo się bierze?
Opatrzność Boska w niebie dla człeka
Sama słoneczne chleby wypieka,
A potem tylko ręce otwiera,
I chleby rzuca, a święty zbiera.
Trza mu sukienki na przyodziewek,
Zaraz anioły lecą do cywek,
I srebrną lamę, złotem przetkaną
Ze mgły tej robią, co wstaje rano.
Robota idzie szybko; jak pszczółki

Kręcą się, brzęczą owe aniołki:
Ten mgłę naciąga, ten cywkę ślizga,
A nad tem wszystkiem zorza rozbryzga. .
— Pod niewymownej okiem dobroci
Pewnie, że w niebie człek się nie spoci,
Że mu tam wielce słodko i błogo,
Ze mu we wszystkiem święci pomogą;
Ale i w samej jasności nieba
O! dziecię moje, pracować trzeba.
Tylko że tam się najcięższa praca
Jakoś inaczej w rękach obraca.
Gdy do niebiańskiej zasiędą strzyszki
Święta Urszula i z towarzyszki,
Aż owce idą jak zajrzeć okiem,
Jako się obłok mija z obłokiem;
Ciągną a ciągną po modrem niebie,
Same się potem kładą przed ciebie,
A zostawiwszy z run górę białą,
Żeby je słońce boże przejrzało,
Lecą maciorki w radosnych skokach,
Jakby wiatr cichy wiał po obłokach.

Kiedy na całej nieba przestrzeni
Wkrąg się zaciemni i zazieleni,
Święci kosarze złotemi kosy
Jeden za drugim sieką niebiosy;
A jak się kamień na drodze nada,
To skra jak piorun na ziemię spada.
A jak posieką, potrzęsą siano,
To niebo jasne, jeżeli rano,
A jeśli wieczór, to wóz gwiaździsty
Wjeżdża na ciemny błękit przeczysty,
I babki za nim wychodzą złote.
A kiedy wszystkę skończą robotę,
Zostawią czasem sierp srebrny biały,
Który na niebie wisi dzień cały.
W niebie się przędza żywota przędzie,
Cokolwiek było, co jeszcze będzie,
Każdy najmniejszy kłoseczek żyta,
Tam się zawiąże, a tu rozkwita,
Na każdem pełnem ziarnie pszenicy
Widać obrazek Boga-rodzicy. (1)
Wszystko, czem biedna ziemia się szczyci,
Z nieba się ciągnie srebrnemi nici.

Kiedy na zimę kraina cała
Pod chłodnym śniegiem zrobi się biała,
A dzionek krótki ledwie się mignie,
Już i w sto koni go nie doścignie,
I każda dusza w sobie się zwinie,
Jak gąsienica w swej pajęczynie;
Wtedy na niebie dzieweczka boża,
Mało pomału dzionka przysporza;
Ta święta panna zowie się Łuca,
Co robi światło i dnia przyrzuca.
Jak jej to idzie owa robota:
Od tronu Boga naciągnie złota
I po rozległej nieba przestrzeni
Rzuca snopami jasnych promieni;
Na zachód światło rzuci w dolinę,
Jużci przybyło dnia na godzinę,
Na wschód potrzęsie garsteczką słonka,
Już na godzinę przybyło dzionka.

A potem, kiedy dzień się rozpostrze,
Anioł przebiega ku drugiej siostrze,
Która jak tylko nadciągnie zima,
Pod swoim kluczem skowronki trzyma.
Więc gdy już słońca najdzie tak wiele,
Że na chrzcielnicę pada w kościele,
Wtedy ostrożna święta Agnieszka
Jednego ptaszka wypuszcza z mieszka;
Gdy nie powróci i znaku nie da,
Na ziemi widać, że już nie bieda.
Wówczas niebieskie brzęczą zawiasy
I ptastwo leci przeróżnej krasy,
Nad świętą wieńcem zatacza koło,
A potem spada na nasze sioło;
A dzieci krzyczą: ho! będzie lato,
Bo już śpiewają ptaki przed chatą.

Wisła, ta nasza rodzinna rzeka,
Za jednym świętym długo też czeka;
Coraz to oryl dręczony głodem,
Nad brzeg wychodzi, stawa nad lodem:
Na wierzbach wiszą szronu kożuchy,
Dokoła biało, świat pusty, głuchy;
Wszystko się człeku psuje, rozsycha,
A ty Wisełko głucha i cicha.
Hej! albo matko idźmy już w drogę!
A na to Wisła mówi: nie mogę!
Chociażbym rada, to ani razu;
Z nieba widzicie czekam rozkazu.

Gdy czas potemu, ku świętej radzie,
Gdzie święty Grzegorz siedzi w gromadzie,
Biały gołąbek z nieba przyfruwa,
Który nad świętym dzień i noc czuwa,

---

(1) Lud nasz prawdziwie pobożny, w samem zakończeniu pszenicznego ziarnka upatruje podobieństwo do Matki Najświętszej. Niejeden wychowany na wsi słyszał od dzieci wiejskich te serdeczne słowa, „albo to koniuszczek, to główka samej Matki-Najświętszej.

Na złotem jego ramieniu siada,
I coś perłowem słowem powiada.
Poczem się święty podnosi w radzie,
Infułę jasną na głowę kładzie,
I pastorałem srebrnym gdy skinie,
Pękają lody i Wisła płynie.

Wiosenną porą, pogodnym świtem
Pan Jezus gada ze świętym Witem:
Jakże tam w polu, wszystko zielone,
Już też porosło pewnie na wronę?.
Wczora deszcz przeszedł i wonność słodka,
Toż się tam trawa sypnie jak szczotka.
No, cóż tam Wicie, już piętka w życie?
A Wit po widnym wodząc błękicie,
Przejrzystą ręką wskaże skrowronki,
Które wzlatują znad mokrej łąki,
I wyśpiewują prawie bez końca
U stóp przeczystych wiecznego słońca;
I rzecze smutny: nie słyszę Panie,
Pokąd to ptastwo piać nie przestanie.
Więc Anioł Boży dziwnej pogody
Daje znak skrzydłem; głuchną ogrody,
Wiśniowe sady, zielone gaje,
Za jednym razem wszystko ustaje.
Wykołysane pieśniami zboże
Samo już pięknie zabrzęknąć może,
I po wszym kraju, na wszystkie strony
Owsy szeleszczą, brzęczą jęczmiony;
Pszczół i komarów muzyka przy tem,
Łącząc się w jedno z powiewnem żytem,
Najcieńszą nutą wygrywa Panu
Po pieśniach ptaków, wielką pieśń łanu.

Przychodzą zbiory, jesień za pasem:
Święty Wawrzyniec chodzi nad lasem,
Nad ciemne bory, głuche parowy,
Gdzie igra z wiatrem orzech laskowy;
Aż kiedy dziewcząt wiejska gromadka,
Ile ich kryje poszyta chatka,
Na raz pszeniczne odbiegnie żniwo,
Za orzechami w gaju co żywo,
Żeby najpierwsza z pracownych żeniec
Z orzechów onych przyniosła wieniec.
Święty znający szczerość ich duszy
Coraz to ową leszczyną wzruszy;
Dopieroż radość, wesołe śmiechy,
Jako perełki lecą orzechy.

Święty Bartłomiej, gospodarz szczery,
Pod koniec roku ostrzy siekiery:
Padają drzewa stare po lesie,
W dalekie strony głos echo niesie,
Przy cięciu święty pilnuje świadek,
Żeby nie zaszedł jaki przypadek.

Wreszcie w ślad świętych Szymona Judy,
Na świat przychodzą śniegi i grudy,
I święty Marcin na białym koniu
Po zaśnieżonem przyjeżdża błoniu,
Patrząc po stronach, na biednych zwłaszcza,
Którym rozdaje po szmacie płaszcza:
Dla każdej nędzy, co przed nim stawa,
Srebrnego płaszcza kawał odkrawa.
I tak się święta praca wciąż snowa,
Jak z ust poczciwych serdeczne słowa.

(d. n.)

Chata Modrzewiowa.

(III. Patrz Nr. 52 C. N. z r. z.)

Od paru tygodni Gwizdacz wcześniej chłopców zapędzał do spania, ale w nowym dworku nie zagasał wcale ogień na kominie; dziewczęta z alkierzyka, kiedy już chrapała pani Brygida, skrycie się wymykały i biegły do braci. Wtedy słychać było we wnętrzu izby cichy śpiew dziecinny, do którego się łączył brzmiący, ale przytłumiony starego wiarusa.

Nieraz kury piały, a dziatwa nie spała z Gwizdaczem jeszcze. Widać, że jakąś tam skrycie przygotowywał niespodziankę z sierotami dla pana Jacentego; ale tak dobrze zachował tajemnicę, że niczego się nie domyśliła nawet pani Brygida, lubiąca wiedzieć o wszystkiem, co się doma dzieje.

Wigilia przypadała tego roku w sobotę. W piątek przeto po wczesnej wieczerzy stawił się z chłopcami swymi Gwizdacz, a pani Brygida z dwiema dziewczętami. Pan Jacenty już siedział poważnie za stołem, na którym leżało kilka ksiąg wielkich i jakieś obok malowane papiery. Stary Piotr wyłupił oczy na nie, nie mogąc pojąć, na co się przydadzą? Dziatwa zasiadła przygotowane ławy, a obok niej wąsaty wiarus i pani Brygida. Świeczka łojowa stała na stole, z komina jasny płomień ogniska lepiej całą izbę oświecał. Sieroty w milczeniu siedziały wyprostowane, z wlepionemi oczyma w *starego jegomościa*, który po chwilce dumania tak do nich przemówił:

—Moje dziatki kochane, człowiek nietylko

samym chlebem żyje; bydlęciu jak dasz siana i owsa, jak napoisz, i jest syte, spoczywa sobie bezczynnie, nie myśląc o niczem— ale Bóg w mądrości swojej, tworząc człowieka, dał mu duszę nieśmiertelną, którą człowiek żywić musi innym chlebem, to jest modlitwą, pieśnią, wspomnieniem lat ubiegłych: jak to dawniej bywało, jak to żyli ojcowie nasi. Owóż tedy te wszystkie wspomnienia, które starzy zachowując w swej pamięci, przekazali synom swoim i wnukom, zaczęli ludzie spisywać, i otóż widzicie księgi, w których macie historyę naszej ziemi spisaną od najdawniejszych czasów. Wieleż to i ja wam mógłbym opowiedzieć przygód z życia własnego, wieleż i sam pan Piotr, który się wami opiekuje tak starannie... tyle przebył i tyle umie i pamięta!

Na te słowa i utytułowanie *panem Piotrem*, Gwizdacz zerwał się na nogi, stanął, a salutując prawą ręką do czoła, zbladł ze wzruszenia i radości, że go wspomniał i pochwalił stary jegomość przed chłopcami.

— Siadajno panie Piotrze; cóż ci to, że tak pobladłeś? zapytał z dobrocią pan Jacenty.

— Nic, to przejdzie, proszę jegomości, odrzekł drżącym głosem wiarus; ale tak mi nagle głupio się koło serca zrobiło, jak wtedy, kiedy po bitwie, a była to nie lada bitwa, pułkownik kazał mi wystąpić przed front, pan kapitan zakomenderował, koledzy broń sprezentowali, i pułkownik przypiął mi krzyż na piersiach, objął za szyję i pocałował...

Ostatnie słowa Gwizdacz na pół z płaczem wymówił; usiadł i ukrył twarz w obu dłoniach, łkając zcicha.

Pan Jacenty patrzał z miłością i współczuciem na starego wiarusa. Po chwili głębokiego milczenia chciał mówić; ale snać dawne wspomnienia tak go wzruszyły, że otarłszy łzę nieznacznie, roztworzył kroniki dzieciom, aby przeglądały rysunki, a sam szerokim krokiem zaczął chodzić po izbie, dopóki się nie utulił Gwizdacz.

— No Piotrze, na początek niewiele dziatwę się nauczyło; ale zawsze początek trudny, a waszmość swoim płaczem takeś mnie roztkliwił, że głosu mi w piersiach brakło i zapomniałem, com miał mówić.

— Proszę jegomości, czy to na tem nauka, żeby długo i wiele gadać, aby trafić do serca? Niemiec może tam szwargotać i cały dzień a czy poruszy człeka, jak to jegomość umie? Ot jednem tylko słówkiem, a zaraz serce uderzy, i jak lunie łzami, tak musi się człowiek wypłakać koniecznie.

— Niedziwota mój Piotrze, że niemiec cię nie poruszy, bo nie rozumiesz jego mowy.

— Nie trzeba i niemca, proszę jegomości; albo ja to wycierając różne kąty w wojsku, nie nasłuchałem się takich, co i długo i szeroko po polsku rozprawiali, ale cóż po tem? Z początku to ci się ta widzi, że on bardzo pięknie i gładko gada; cóż z tego, kiedy nie umiesz z tego wszystkiego zdać sobie sprawy, i nic z tego w głowie ci się nie układa! A jegomość jak co powie, to krótko a węzłowato, a człowiekiem wstrząśnie, a w pamięć się tak wrazi, że śni się potem i widzi wszystko by na jawie. Pamięta jegomość, jak mi opowiadał wyprawę swoję w te wąwozy i góry, co to hiszpany tak ustroili w armaty i piechotę... jak to nasze szwoleżery z kopyta jak nie skoczą, a jegomość w pierwszym szeregu. Jak wpadliście na te armaty, jak ten wąsaty kanonier hiszpańczyk uderzył jegomości wiszorem, jak koń dał dęba i jegomość upadł; to potem przez cały tydzień marzyło mi się we śnie, a ta bestyja z wiszorem stała mi przed oczyma. No, niechże mi tam kto jakie cuda opowiada, czy to człowiekowi wpadnie tak w serce i osiądzie w głowie?

Pan Jacenty słuchał z upodobaniem wywnętrzania się Gwizdacza, a gdy dziatwa skończyła przegląd rycin w kronice Bielskiego, rzekł, siadając na ławie przy kominie i spoglądając na zegar z kukułką:

— Zagawędziliśmy się moja dziatwo długo, dziewiąta zaraz wykuka; idźcież spać, bo jutro pani Brygida będzie miała dużo roboty, a nam czas do modlitwy.

Chociaż Gwizdacz wcześniej wrócił do swego domostwa z chłopcami, zamknął zaraz okienice, a po chwili przytłumiony śpiew zabrzmiał w izbie. Pan Jacenty wyszedł na ganek popatrzyć w niebo i wywróżyć nazajutrz pogodę. Księżyc jasno przyświecał, tysiące gwiazd migotało bladem światłem na czystem, bezchmurnem niebie; mróz poprawiał się i śnieg skrzypiał pod nogami. Nagle dosłyszał bystrem uchem śpiew chłopców

pomieszany z grubym basem Gwizdacza; pewny, że to pieśń wieczorna, kończył swoje modlitwy, wrócił do alkierza i wkrótce smaczno i twardo zasnął.

Rano przed brzaskiem dnia znów w nowym domostwie słychać było śpiew przytłumiony, ale ucichł nagle, gdy Gwizdacz ujrzał Brygidę na ganku. Zabrał się co żywo z chłopcami i zaczął znosić drzewo drobno połupane do czeladnej izby, aby było zapasu do ugotowania wigilii na dwa święta uroczyste. Już znieśli wszystko na potrzebę, gdy zabrzmiał głos pobożnej pieśni:

„Kiedy ranne wstają zorze“

którą zwykle przed podniesieniem się z łóżka odśpiewywał pobożnie pan Jacenty. Gwizdacz odprawiwszy chłopców, ażeby nacięli gałązek zielonych choiny do potrząśnienia podłóg w dnie tak uroczyste, sam wszedłszy do izby, rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, jak się spało jegomości? zapytał.

— Na wieki wieków amen, kochany Piotrze; spałem jak niedźwiedź w legowisku, kiedy ssie swoję łapę. A śnił mi się nieboszczyk Bartłomiej Bruzda, w białej jak śnieg sukmanie, a taki radosny na twarzy i uśmiechający się, że aż miło było patrzéć. Tyś Piotrze stał przy kłodzie drzewa na naszem podwórzu, a on spuścił się jakby na promyku jasnego miesiąca, ujął nas obu za ręce i rzekł głośno: „Bóg wam zapłać! kto się sierotami opiekuje, to sobie niebo gotuje.“ A jak mnie dotknął ręką swoją, tak rozweseliło się serce moje, że łzy mi płynęły; a patrzałem jak w tęczę w twarz opromienioną poczciwego Bruzdy... ale niech odpoczywa z Bogiem, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków amen. Rano i wieczór każ Piotrze chłopcom odmawiać modlitwy za umarłych. Pani Brygida będzie z dziewczętami odmawiała także. Nie zapominajmy o tych, co śpią już snem nieprzespanym w mogiłach, bo sami może niedługo pójdziemy na łono wieczności; tymczasem żyjmy jak nam święty zakon Chrystusa Pana przykazał.

Gwizdacz głęboko się zadumał nad sennem widzeniem pana Jacentego; wracając do domostwa z cicha się modlił, a po śniadaniu zarzuciwszy strzelbę na ramię, ruszył lasem na pobliskie pola, aby zdobyć jaki łup myśliwski. Przed południem wrócił wcześnie; trzy tęgie koty i pięć kuropatw zasiliły spiżarnię uradowanej pani Brygidy, która tak zręcznego łowca uraczyła czarką miodu i pieczonemi kartoflami ze śledziem. Dziatwa niecierpliwie oczekiwała pierwszej gwiazdki na niebie; jakoż niedługo zmrok ciemny pokrył ziemię, a na bezchmurnem niebie ukazała się wyglądana gwiazdka i za nią tysiące innych. Gwizdacz chłopcom kazał się umyć, uczesać, czyste wdziać koszule i sukmany; sam przybrany w świąteczną kapotę, ruszył razem z niemi do dworku.

Stół już w pierwszej izbie zastali nakryty na sianie: przyozdabiały go w każdym rogu pod ścianami oparte snopy niemłóconego jeszcze żyta, pszenicy, jęczmienia i owsa; belki na pułapie przystrojone były w wiązanki pachnącej koniczyny i zielonej długiej trawy zasuszonej.

Gwizdacz, który wszedł pierwszy, ujrzawszy wychodzącego pana Jacentego, stanął zdziwiony, zapomniawszy przemowy, którą sobie od wczoraj ułożył.

Gospodarz domu był ubrany w czamarę granatową, a na piersiach wisiały dwa złote krzyże na czerwonej i niebieskiej wstążce. Były to krzyże: francuzki i polski, które zdobył Jarzyna na polu bitwy za czasów jeszcze Napoleona pierwszego. Gwizdacz, który je znał dobrze, i wiedział, że jak rzadko udzielane, tak stanowiły wielki zaszczyt dla tego, który je otrzymał, stanął wyprostowany jak przed frontem i po żołniersku salutował wchodzącego. Pan Jacenty uśmiechnął się wdzięcznie, ujął wiarusa za rękę i wyrzekł wzruszonym głosem:

— Winszuje ci kochany panie Piotrze wszystkiego, czego pragniesz, a przedewszystkiem zdrowia, bo go obadwa potrzebujemy, nie dla siebie, ale dla sierot... A wam chłopcy życzę, żebyście kochali pracę, miłowali Pana Boga, uczyli się pilnie, a jak podzielicie każdy dzień na pracę i modlitwę, będziecie poczciwymi i użytecznymi.

Gwizdacz pocałowawszy w rękę Jarzynę dał znak, a chłopcy rzucili się do jego kolan i z płaczem je ściskali. Starzec do głębi wzruszony ucałował każdego w głowę i przeżegnał, gdy ukazała się pani Brygida, niosąc na

talerzu wódkę, opłatki i piernik, a za nią dwie dziewczynki Kasia i Marysia z wazą polewki piwnej i grzankami w oleju maczanemi.

Pan Jacenty złamawszy się opłatkiem ze wszystkimi, przy życzeniu *Dosiego roku*, wypił w ręce skrzętnej gospodyni, ta wręce Gwizdacza, i zasiedli razem do wigilii. Jarzyna po chwili powstał, przeżegnał się krzyżem świętym i odmówił następną modlitwę:

„Panie Jezu Chryste, który dla zbawienia naszego zniosłeś obelgi i umęczon na krzyżu, zmartwychwstałeś w światłości wiekuistej, oto obchodzi lud twój wierny pamiątkę świętych urodzin Twoich, gdyś ubogo, w lichej stajence złożon w żłobie na sianie, pokazac się raczył ziemi naszej. Bądź pozdrowione imie twoje, a tę modlitwy nasze racz przyjąć łaskawie i zażegnać błogosławieństwem świętem nas tu wszystkich zebranych, nasze domostwo, chudobę, jak i wszystkich ludzi i świat cały, amen.“

Wszyscy z pokorą wysłuchali stojąc, słów pobożnych sędziwego gospodarza. Suta była wigilija: nie brakło dostatku ryb, kapusty z grzybami i klusków z makiem. Starsi popijali wesoło miód domowy, dziatwę poczęstowano wystałem piwem.

Zaledwie skończono wieczerzę, porwał się od stołu Gwizdacz ze sześciorgiem sierot, prosząc pana Jacentego i pani Brygidy, ażeby poczekali w izbie, gdyż on wróci z dziećmi niedługo. Jarzyna miarkując, że przygotował stary wiarus jakąś niespodziankę, zapalił fajkę i usiadł na ławie przy płonącym kominku, gdy Brygida zajęła się uprzątaniem nakrycia ze stołu.

* * *

Niedługo czekali, wkrótce dobranemi głosami zabrzmiała pieśń w zgodnym chórze z wydatnym wtórem Gwizdacza:

W żłobie leży,
Któż pobieży
Kolendować małemu,
Jezusowi Chrystusowi,
Dziś nam narodzonemu?
Pastuszkowie przybywajcie,
Jemu wdzięcznie przygrywajcie,
Jako Panu naszemu!

Jarzyna na odgłos tej pieśni prostej wypuścił z ust fajkę, zakrył twarz obu rękoma i zcicha załkał. Brygidastanęła zdziwiona, ale i jej łzy się puściły strumieniem. Starzy stojący już nad grobem, przypomnieli sobie lata dziecęce, dom swój, rodziców i rodzinę, i płakali za tem wspomnieniem.

— Słyszysz Brygisiu? ta sama pieśń, na której odgłos w domu twoich rodziców wbiegałaś do naszej stancyjki, dając znać, że *szopka* przybyła. Z jakąż to radością lecieliśmy razem na tę zabawę weseli i radzi! Dziś wszyscy w grobie, a my siwizną pokryci, bólem życia złamani, sami, opuszczeni.

— Jacusiu, odrzekła, hamując łzy swoje, nie grzesz waszeć; Bóg opatrzny dał nam sieroty. Jarzyna na te słowa podniósł głowę... prawda, Bóg dał nam sieroty... uspokoił się, a zapaliwszy zagasłą fajkę, przyrzucił drewek na komin. Tymczasem śpiew się zbliżał coraz więcej, nagle w sionce umilkł, a Gwizdacz wchodząc, rzekł:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!.. czy może wniść szopka?

— Na wieki wieków amen, odrzekli razem starzy, prosimy, prosimy.

Drzwi się na ścieżaj roztworzyły, a chłopcy wnieśli szopkę, dziewczęta z zielonemi gałązkami choiny stanęły jakby na jej straży. Po odśpiewaniu pieśni przy żłobku, w którym spoczywało Dzieciątko święte, wyskakiwały figurki zręcznie przez Gwizdacza wyrobione, to różnych krakowiaków, to dziewcząt strojnych, to ukraińców z torbami; wreszcie ukazał się król Heród, który wydaje rozkaz wymordowania niemowląt. W rzezi tej ginie syn jego; Heród w rozpaczy woła śmierci, staje widmo kościste, ścina mu głowę kosą, a djabeł porywa jego duszę i ciało do piekła.

Pan Jacenty i Brygida bawili się serdecznie; myśleli, że już koniec widowiska, gdy Franek najstarszy z chłopców zapowiedział, że będzie druga część, tylko nieco odpoczną. Jakoż po chwili zasłona z szopki opadła; ukazała się taż sama stajenka i w żłobku leżące Dziecie święte, przy niem Boga-rodzica, święty Józef i aniołowie. Zabrzmiała dawna pieśń o przybyciu trzech króli; wnet też pokazały się strojne konie i juczne wielbłądy, oraz królowie niosący złoto, mirrę i kadzidło. Nagle z przeciwnej strony wyjeżdza na koniu król Jan Sobieski otoczony rycerzami, z dobytą szablą, zastępuje im drogę i do Świętej Dzieciny dalej ani na krok nie puszcza.

— Dla czego tamujecie nam gościniec? pytają ze wschodu królowie; my wiedzeni gwiazdą niebieską śpieszymy z hołdem Jezusowi Chrystusowi i składamy drogocenne dary: złoto, mirrę i kadzidło.

A król Jan Sobieski na to:

— Nie puścimy was dalej, bo my tu stoimy na straży przy Dzieciątku Bożem. Mamy z nieba *ordynans*, i nikomu nie ustąpimy z błogosławionego pola. Chrystus Pan nie potrzebuje złota ani żadnych darów, ale pragnie serc czystych, gotowych do poświęceń i ofiary, aby za jego święty zakon każdy z rycerzy z pod jego chorągwi był gotów zawsze krew i życie oddać ochotnie. My tacy jesteśmy wierni ryczerze; panie chorąży rozwiń waszmość pan chorągiew świętą!

Tu na czoło wyjeżdza uzbrojony wojownik, i w ręku trzyma chorągiew z krzyżem, a król Sobieski mówi:

— Widzicie, to godło nasze; a teraz uderz cie czołem, złóżcie swoje dary i wynoście się fora z dwora.

Trzej królowie oddają pokłon Świętej Dziecinie, składają złoto, mirrę i kadzidło i opuszczają stajenkę Betlejemską.

Król Sobieski wtedy z rycerzami pieśń na cześć Chrystusa śpiewa chórem; zaledwie ostatnia strofka przebrzmiała, woła znowu: —Uderzcie w bębny i trąby, niech Dzieciątko Boże zobaczy rycerstwo swoje.

Na te słowa Gwizdacz zatrąbił pobudkę, zawtórował mu doskonale na bębnie Franek. Jarzyna nie mógł już pohamować radosnego wzruszenia; zerwał się z ławy, porwał w objęcia starego wiarusa.

— Piotrusiu! zawołał, niech ci Bóg zapłaci za to wesele, jakiegom doznał; niech cię ucałuję za to. Brygisiu! miodku dawaj, pana trębacza dzielnego i dobosza zdrowie, a i tej dziatwy miłej, co tak pięknie śpiewa.

Butelka jedna i druga wnet się wypróżniła.

— Skądeś mój Piotrze nauczył się takiej pięknej szopki?

— A to widzi jegomość, widziałem i tu we wsi szopki, i na ukrainie *wertepy* jak tam zowią szopki, a u jednego starego konfederata patrzałem wiele razy na króla Sobieskiego, jak harcował dziwnie pięknie na koniu w takim *wertepie*. Przypomniała mi się i cała piosenka. Wyuczyłem więc chłopców i jakoś się udało; widać, że tak radzi państwo oboje.

— Brygisiu! nalej nam jeszcze czarki. Piotrusiu! wypijemy na pamięć króla Sobieskiego; wstaję na znak uszanowania przy wspomnieniu takiego rycerza! Wam dziatki opowiem niedługo o tym królu. Teraz, tak jak za jego czasów, wykrzyknijmy razem: Niech żyje w pamięci naszej król Sobek kochany!

Dwunastą godzinę z północy wykukała kukułka. Tak się skończyła wigilia Bożego Narodzenia w *Chacie Modrzewiowej*.

Rady dla włościan

z hygieny popularnej.

O powietrzu.

—

Nietylko pokarmy i napoje służą do utrzymania życia ludzkiego, koniecznie do tego potrzebnem jest i powietrze. W niem żyjemy jak ryba w wodzie, niem oddychamy, wciągając je nosem i ustami do płuc, w których krew czerpie najlepsze z niego cząstki, a oddaje mu nawzajem już zepsute i niezdrowe, które z nas razem z oddechem wychodzą. Ztąd to w izbie, w której jest wiele ludzi powietrze staje się dusznem i nieczystem, i ztąd też, kiedy kto nie może oddychać mając ściśnięte gardło, albo też zatkany nos i usta, wkrótce umiera. Starać się więc powinniśmy usilnie, ażebyśmy brali w siebie powietrze świeże i czyste; przy oddychaniu bowiem powietrzem zepsutem, krew się nie polepsza, ale zaraża, z czego powstają różne choroby. Powietrze więc, równie jak pokarmy i napoje utrzymuje nasze zdrowie, lub szkodliwie na nie oddziaływać może.

Ażeby powietrze nie szkodziło zdrowiu, lecz owszem przyczyniało się do jego utrzymania, powinno być, jak powiedzieliśmy, świeże i czyste, tojest: nie zamknięte długo w zacieśnionem miejscu, i nie zmieszane z wyziewami cuchnącemi, stęchłemi lub wilgotnemi, które je zanieczyszczają i czynią zdrowiu szkodliwem. Nie dobrze więc jest mieszkać w izbie, w której powietrze nie bywa odświeżane. Unikać niemniej potrzeba, aże by w mieszkaniu nie było zbyt wiele ludzi,

gdyż ci wyziewami swemi zatruwają je i czynią przez to zdrowiu szkodliwem; należy przynajmniej w takich wypadkach otwierać drzwi i okna, ażeby dać wolny przystęp zdrowemu powietrzu. Baczyć takož potrzeba troskliwie, ażeby w izbach nie było brudów i śmieci, wilgoci ze ścian lub rozlewanej wody, suszenia bielizny lub sukien mokrych i spoconych tym bardziej nie należy trzymać w izbie przedmiotów łatwej stęchliznie i gniciu ulegających, lub silny wydzielających odór, jakoto: kwaszonej kapusty, stęchłych legumin, zepsutego mięsa, ziół aromatycznych, drobiu, królików i innych zwierząt, a około domu gnojów, kałuży i tym podobnych nieczystości; wszystko to bowiem zanieczyszcza powietrze, które gdy w siebie wciągamy przez oddychanie, niszczymy zdrowie.

Prócz tego zaraźliwemi są wyziewy od osób chorych, zwłaszcza nieochędożnie utrzymywanych, a zabójczemi są z węgli niezupełnie wyżarzonych. Kiedy się piec zaprędko zamknie albo zatka, to jest wtedy, kiedy się węgle zupełnie jeszcze nie wytlą i gdy jeszcze dobywa się z nich niebieskawy płomyk, albo gdy piec jest zbyt przepalony, wtenczas osoby znajdujące się w izbie dostają mocnego bólu głowy, a jeżeli nie wyjdą na świeże powietrze, stać się mogą pastwą śmierci z przyczyny *zagorzenia.*

Widzicie z tego, jak bardzo powietrze wpływa na zdrowie i życie ludzkie, i jak usilnie starać się potrzeba, ażeby zawsze świeżem i czystem oddychać. Widzicie, że to powietrze psuje się i zanieczyszcza w izbach nieochędożnie utrzymywanych; pamiętajcie więc przez wzgląd na wasze zdrowie, największe bogactwo, zachowywać w mieszkaniach waszych czystość jak największą. Wymiatajcie je często i starannie i nie trzymajcie w nich nic takiego, coby powietrze w nich zanieczyścić i zepsuć mogło. Przewietrzajcie niemniej często izby, zimą nawet codzień, choć na krótką chwilę otwarciem drzwi lub okna, ażeby naszło świeżego powietrza; kadźcie octem, puszczając go kroplami na wrzącą wodę, na żelazo lub kamień rozpalony, szczególniej, kiedy w domu jest chory.

Lecz mogą być mieszkania, w których te wszystkie środki nie sąjeszcze dostatecznemi, jeżeli takowe albo są źle, albo w niewłaściwych i niezdrowych miejscach wystawione; pomówimy zatem jeszcze, jak i gdzie stawiane być mają domy, i jak urządzone być powinny, żeby w nich łatwo utrzymywać można zdrowe i czyste powietrze.

Zdania.

1. Wdzięczność za dobrodziejstwa odebrane jest najskuteczniejszym środkiem do otrzymania nowych.
2. Łagodność i znoszenie przywa rbliźniego jest zródłem pokoju.
3. Ująć się dają łatwo i pozyskiwać serca, gdy się z ludźmi postępuje z pokorą i łagodnością.
4. Kto kocha ubogich w swem życiu, bez trwogi spoglądać będzie na zbliżającą się chwilę śmierci.
5. Często jedno słowo pełne miłośc, skruszy serca zakamieniałe. i przeciwnie jak jegno słówko gorzkie zdolnem jest zatruć duszę i przepełnić ją boleścią, która jej może być szkodliwą.
6. Im bardziej miłość Boga wzrasta w jakiej duszy, tym bardziej miłość cierpień i pokory powiększa się z nią razem.
7. Miłość chrześciańska jest duszą wszystkich cnót.

Prenumerta wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90— kwartalnle k. 45— miesięcznie k. 15
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. 1 rocznie.
Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma, bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować.—Warszawa d. 28 grudnia (6 stycznia) 1859f60 r. Starszy cenzor *F. Sobieszczański.*